



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

VII.

Redakcja Wieczorów rodzinnych do Abrakadabrusa.

Warszawa dn. 18-go Czerwca 1890 r.

Dostojny mistrzu!

Dzięki serdecznemu pośrednictwu Waszój Dostojności, królewicz Zielonko zaszczycił nas dwoma wielce łaskawymi listami, i ogłosił w Piśmie naszym konkurs wielkiej doniosłości dla naszych czytelników. W tych ostatnich, obudził on zdziwienie i niedowierzanie: zasypało nas pytaniami „czy konkurs ogłoszony jest naprawdę, czy na żarty” i „czy drukowane w Wieczorach listy z Wyspy

wym, ponowiliśmy ogłoszenie w szpaltach naszego Pisma. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwania: żaden konkurs jeszcze nie wywołał takiego ruchu między czytelnikami, jak ten — bo też nagroda nigdy jeszcze nie była tak niezwykłą i zachęcającą. Literalnie zarzuceni jesteście pracami konkursowymi: do téj chwili otrzymaliśmy ich dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, i jeżeli tak dalej pójdzie, to majtek niemowa, który z woli Jego Królewiczowskiej Mości ma w dniu oznaczonym stawić się w naszej redakcyi, dla zabrania przesyłki, będzie musiał przybyć z wielką skrzynią i przyprowadzić z sobą kilku tragarzy, bo sam jeden ciężarowi takiemu nie podole. Wiedząc zaś jak bardzo władcóm Atlanty idzie o zachowanie tajemnicy co do sposobu komunikowania się z wyspą, uznaliśmy za właściwe zawiadomić Jego Królewiczowską Mość, za pośrednictwem Dostojności Waszój, o rozmiarach jakie przybiera konkurs, dla dania Mu czasu do obmyślenia środków ostrożności, potrzebnych może przy tak dużej przesyłce.

Redakcyja.

Abrakadabrus do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Marmurowa góra dn. 22-go Czerwca 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Majtek niemowa jest tak wielki siłacz, że jak niegdyś sławny w świecie król August Sas, łamie w rękach podkowy, sztaby żelaza zwiija niby wstęgi, więc i takiemu ciężarowi jak myśli czytelników Wieczorów rodzinnych, da chyba radę sam jeden, chociażby nawet cyfra wypracowań 999, powiększyła się o jedno zero na końcu. Jest on już w drodze do Warszawy — i w dniu oznaczonym, to jest 24-ym bieżącego mie-



siąca, we Wtorek, o godzinie 12-jej w południe, stawi się w Redakeyi. Niech przesyłka będzie gotowa.

Wczoraj jeździłem do Koralowego grodu, zwanego tak od materyału z którego pałac został zbudowany, a materyałem tym był produkt czysto zwierzęcy, piękny czerwony koral. Nie byłem tam od czasu jak Pióropuszek zaprosił mnie na czajeze jaja, a ciągnęła mnie tam obok przyjemności odwiedzenia mojej kochanej królowny Perelki, nadzieja zainteresowania królewicza dla waszego Pisma tak, jak udało mi się zainteresować Zielonkę.

Gdy pocziwy mój muł wstępował na dziedziniec Koralowego grodu, dwaj maleńcy książęta bawiący się piłkami pod dozorem ochmistrzyni, przerwali zabawę i biegli do mnie z wyciągniętymi rączkami, wołając:

— Dziadziu Abrakadabra, chodź z nami bawić się w piłkę. Mama powiedziała że jesteśmy bardzo grzeczni!

Obaj synowie Pióropuszka, Daniel i Pstrąg są bliźniętami, i jak zwykle bliźnięta, podobni do siebie niby dwie krople wody. Ciemnymi włosami i oliwkową cerą, przypominają ojca, wdziękiem postaci i słodyczą obejścia, matkę. Gdym śliczne te dzieci po raz pierwszy zobaczył, spytałem królewicza jak między nich w przyszłości królestwo swoje podzieli. Odpowiedział mi wówczas, że jeden będzie panował na lądzie a drugi na wodzie — i bardzo pochwaliłem ten pomysł. Podział rozgraniczający stanowczo posiadłości obu braci, zapobiegał w przyszłości wszelkiej pomiędzy nimi niezgodzie. Ciekaw jestem jednak, coby zrobił, gdyby go Pan Bóg trzecim synem, lub córką obdarzył.

Marszałek dworu wyszedł na moje powitanie i oznajmił, że królewiczostwo uwiadomieni już o mojem przybyciu, czekają mnie na pałacowym tarasie, gdzie królewicz na uroczystem posłuchaniu przyjmuje posła cesarza chińskiego, margrabiego Si-ano-y-si-ecz-ka. Poszedłem więc za nim, uspokoiwszy małych książąt obietnicą rychłego powrotu i ujrzałem wkrótce Pióropuszka w otoczeniu całego dworu, w gronostajowym płaszczu i koronie z ogromnych pereł, siedzącego pod wspianiałym portykiem, mającym kształt baldachimu. Perelka siedziała obok niego w koronie także i w purpurze. Chciałem stanąć niepostrzeżenie pomiędzy dworanami i pozostać tak do końca ceremonii, ale królewiczostwo dostrzegli mnie zaraz i nie pomni na przepisy etykiety, zaprosili abym zajął miejsce obok nich.

Margrabia Si-ano-y-si-ecz-ka, poważny mandaryn z długim warkoczem i skośnymi oczyma, strojny w żółte atłasy, miał długą w języku chińskim przemowę, w której słał potęgę swojego pana, prawił szeroko o jego przyjaźni dla władców Atlanty, a w szczególności dla królewicza Pióropuszka — i jako widomy dowód tej przyjaźni, składał mu w jego imieniu dar w srebrnej kunsztownie ozdobionej puszcze. Gdy królewicz dar z rąk mandaryna przyjął i puszkę otworzył, cały dwór wbrew wszelkiej etykietce wydał okrzyk zdziwienia i wstępu. W puszcze znajdowało się kilkanaście pęczków grubości palca, długich na kilka cali, składających się z pewnej liczby gąsienic i grzybów, które choć były wysuszone i pomarszczone, jednakże kształty ich przedstawiały wyraźnie cechy gąsienicy i rośliny. Obok tych pęczków, znajdowały się jeszcze w puszcze jakieś brunatne przedmioty, przypominające do złudzenia formą uszy ludzkie.

Podczas gdy wszyscy przpatrywali się temu szczególnemu i niezbyt ponętnie wyglądającemu darowi, a królewicz obracał puszkę w ręku z pewnem zakłopotaniem, poseł przemówił.

— Są to, o potężny Monarcho, najkosztowniejsze przysmaki naszego kraju, z rodzaju grzybów. Pierwszy — mówił wskazując na pęczki — nosi pięknie brzmiącą nazwę *Hia-ts'au ung-ch'ung*, co w języku łacińskim zwie się *Cordyceps sinensis*. Wyrasta na głowie gąsienicy pewnego gatunku ćmy, i podobny jest, jak to Wasza Królewiczowska Mość widzi, do dużego rogu. Gąsienica dotknięta grzybem wkrótce umiera, a ususzona wraz z owym grzybem, jest wielce cenionym u nas artykułem handlu. Za wagę jego, daje się poczworną wagę srebra. Ten zaś drugi brunatny grzyb podobny do ucha ludzkiego, nie-

ma w języku chińskim nazwy, bo nie rośnie u nas, ale po łacinie zowie się *Hyrneola polytricha*. Sprowadzamy go, ususzony już, za drogie pieniądze z Nowej Zelandyi, gdzie wyrasta na gnijących drzewach, w lesistych okolicach tego kraju.

— Wdzięczny jestem niewymownie Jego Cesarskiej Mości, za dary tak kosztowne — przemówił królewicz — ale zechciej mnie objaśnić panie margrabio, do czego one mają służyć?

— Przysmaki te używają się w naszym kraju, jako dodatki do zup. Obok rozkoszy jakie sprawiają podniebieniu, posiadają własności lecznicze, czyszczące krew.

Królewicz nachylił się ku mnie i szeptem filuternie.

— Mistrzu! tak rzadkiego i dostojnego jak ty gościa, chciałbym należycie uczcić. Może pozwolisz żebym kazał kucharzowi przyrządzić dla ciebie te chińskie przysmaki na wieczere?

— Dziękuję ci, miłościwy królewiczu — odrzekłem skromnie — prosty jestem człowiek i proste lubię potrawy; wolę zjeść kawałek upolowanej przez ciebie zwierzyny, lub kurczę domowe ze zwyczajnemi przyprawami.

Pióropuszek uśmiechnął się, a zwróciwszy się do posła, dziękował za dar kosztowny i prosił margrabiego w nader miłych i ujmujących wyrazach, aby wybrał z jego stadniny dwa najpiękniejsze wierzchowce i zawiózł w zamian swojemu panu w imieniu królewicza. Dar to był prawdziwie królewski, bo wierzchowce przybrano w rzędy sadzone perłami najczystszej wody.

Po odejściu mandaryna, królewicz odprawił dwór, zrzucił gronostajowy płaszcz i pozbywając się z nim razem swego urzędowego charakteru, rzekł z komicznem zakłopotaniem, wskazując na srebrną puszkę.

— Mistrzu kochany, poradź mi co mam z tym fantem zrobić!

— Powinieneś, miłościwy królewiczu, odesłać go Zielonce — rzekłem pomyslawszy chwilę — grzyby należą do królestwa roślin... Zobaczymy co on z tem zrobi...

— Wyborna myśl! — zawołał rozweselony, i zamknąwszy napowrót puszkę, wystosował do Zielonki list następujący:

„Panie i Bracie mój! Otrzymałszy dziś w darze kosztowne przysmaki chińskie zwane *Hia-ts'au ung ch'ung* i *Hyrneola polytricha*, a nie chcąc rozkoszować się niemi samolubnie, zwłaszcza że jeden wyrósł jako grzyb na gąsienicy, a drugi jako grzyb także na gnijących drzewach, należą zatem więcej do królestwa roślinnego niż zwierzęcego. Posyłam je w podarunku wielce mi miłemu Panu a Bratu, życząc Mu, jak również całej Jego rodzinie smaczno apetytu.

Sercem miłujący brat

Pióropuszek.

Ciekawi byliśmy jak też z przysłanym podarunkiem postąpi obdarowany, ale nie mogliśmy nie wnosić z dziękczynnej odpowiedzi, z jaką wysłany paż wkrótce powrócił, przynosząc w zamian koszyk przesłicznych poziomek dla królewicza i bukiecik róż herbacianych dla jego małżonki. Jedliśmy poziomki ze smakiem, napawaliśmy się wonią kwiatów, a Pióropuszek będący w wybornym humorze z powodu figla wyplatanego Zielonce, rzekł do mnie.

— Jestem pewny, mistrzu, że nie opuścisz już naszej wyspy dla żadnej po świecie podróży, bo będą się tu dziać rzeczy bardzo ciekawe. Czy uwierzysz, że jestem na drodze zbadania mowy zwierząt?

Spojrzałem na niego uważnie.

— Czy nie za pomocą fonografu? — spytałem.

— Ej, mistrzu kochany, że też niczem zadziwić cię nie można — powiedział żałośnie królewicz — wiesz wszystko, lub wszystkiego się domyślasz. Tak jest, za pomocą fonografu, ale sam powiedz do czego to ludzie dziś dochodzą! Nieraz słuchając śpiewu ptaków, ciekawy byłem jakie też słowa składają się na ich pieśni; a widząc sejmy wróbla na płotach, na-

rady zórawi przed odlotem, mówiłem sobie, że wiele dalbym za to żeby je zrozumieć, ale uważałem zawsze marzenie moje za niedosięgniome. Dziś jednak, co było niedosięgnięciem staje się prawdopodobnem. W niedalekiej przyszłości dowiemy się może nie tylko o czem zwierzęta radzą, ale co myślą o nas, o ludziach.

-- Pytanie, czy to czego się dowiemy, będzie korzystne dla nas — wtrąciła śmiejąc się Perelka — i czy wiedząc nareszcie to co wiedzieć dziś pragniemy, nie będziemy żalowali dawniejszej nieświadomości!

— W naszym pysze człowieczeńz, nazywamy często zwierzęta istotami bezrozumnymi — mówił dalej królewicz — chociaż doświadczenie życia, powinno już nas było tego brzydkiego przyzwyczajenia oduczyć: zwierzęta mają instynkt wybornie zastępujący im rozum, a inteligencją, czujnością, rozwagą, nie raz wprawiają w zdumienie człowieka! Niema prawie takiego zwierzęcia, od którego nie moglibyśmy się czegoś nauczyć, a pszczoły i mrówki poszły nawet w przysłowie. Gdy jednak z czasem fonograf pomoże nam rozumieć mowę zwierząt, zdołamy ta odda wielkie usługi światu naukowemu. Znajomość ziół które zwierzęta poszukują lub omijają, przyda się medycynie, a wiadomości geograficzne ptaków, częste odbywających podróże, przewyższą odkrycia poczynione przez najśmielszych podróżników; bo ptak przebywa takie przestrzenie, których nie dotknie noga podróżnika.

— Zanim do tego przyjdzie, miłościwy królewiczu — odrzekłem chłodząc trochę zapał Pióropuszką — wiele czasu upłynie. Dotąd nikt jeszcze fonografu do badania zwierząt zastosować nie próbował; jestto dopiero pomysł jakiegoś niemieckiego uczonego.

— Ja będę próbował — powiedział stanowczo królewicz. — Pisałem do Edisona żeby mi przysłał fonograf najwięcej nadający się do tego celu. Ty, mistrzu kochany, wątpisz żeby się to na co zdało, ale mojem zdaniem, pierwszym warunkiem udania się każdego przedsięwzięcia, jest aby o niem nie wątpić. Nikt nie zaprzeczy, że zwierzęta jednego gatunku, rozumieją dźwięki przez siebie wydawane, człowiek nie miał dotąd możności zbadania tych dźwięków, bo trudno je było uchwycić za pomocą alfabetu lub nut. Wszelkie porównanie przeto było niemożliwe, i żaden uczony badacz nie jest w stanie napewno orzec, czy psy szczekają: hau, hau, jak nam się zdaje, czy: wau, wau, jak chcą francuzi, czy: bau, bau, jak utrzymują niemcy. Fonograf zaś przechowujący z wszelką dokładnością dźwięki, wydaje mi się bardzo podatnym do czynienia w tój mierze porównań, mogących dać podstawę do dalszych badań. A któż wie mistrzu, czy badania te nie doprowadzą nas z czasem naprawdę do porozumiewania się ze zwierzętami.

— Ha! kto wie — potwierdziłem — bywają rzeczy o jakich się nie sniło filozofom. Gdyby przed kilkunastu laty powiedział kto, że głos można przesyłać na wielkie odległości, nazwanoby go waryatem, a jednak telefony i fonografy dziś to czynią. Telegrafy i drogi żelazne, należały niegdyś także do niepodobieństw.

— Mówiłem z braćmi o moich przypuszczeniach i nadziejach — ciągnął dalej królewicz — ale w duszach ich nie znalazłem odgłosu; przyjęli to do wiadomości dość chłodno. I nic dziwnego: to tylko zwykle u innych odgłos znajduje, co co ich bezpośrednio obchodzi. Kwiaty i drzewa nie wydają dźwięków, a Zielonko utrzymuje, że bez nich są aż nadto wymowne i że on je wybornie rozumie; gdy zaś wicher przychodzi grać na gałęziach drzew smętną lub dziką melodyę, mówi ona sama za siebie i nie trzeba do niej żadnych objaśnień. Co zaś do Krysztalka, to wiadomo, że jego minerały są wiecznie głuche i nieme; niedarmo też powstało przysłowie: „milczy jak skała”.

— Śniem temu zaprzeczyć, miłościwy królewiczu — odparłem: skały nie są głuche, bo wydają echa potężne, a w metale dosyć uderzyć aby przemówiły najczarowniejszymi dźwiękami. Ale jak wicher gra na gałęziach drzew Zielonki, żyjącą niemal ożywiając je duszą, tak w metale Krysztalka du-

szą swą przelewa człowiek i porusza przez to dusze innych. Nie jestże to gra szlachetna i wzniosła?

— Bezwątpienia — odpowiedział królewicz — choć zdaniem mojem, metale nigdy tak delikatnych i przenikających nie wydają dźwięków, jak produkt czysto zwierzęcy, kiszki baranie z których wyrabiają się struny do skrzypiec.

— Nie będziemy się o to sprzeczały — odrzekłem — bo to rzecz upodobania, ale muszę ci powiedzieć miłościwy królewiczu, że wiem też coś o minerałach wydających dźwięki. Podczas mej ostatniej podróży po świecie, widziałem na południu Nowej Walii, w okolicach miejscowości zwanęj Botany Bay, piasek brzmienny. Piasek ten wydaje ton gdy na niego stąpić lub laską go poruszyć, a siła tonu zdaje się być zależna od stopnia wilgoci w piasku.

Zastanowił się mocno królewicz nad tem co słyszał, a po chwili rzekł.

— Mam nadzieję mistrzu, że choć wiesz wszystko, znajędę w mojem królestwie coś czem cię przecież potrafię zadziwić. Zapraszam cię po wieczery na koncert jakiego pewnie nie słyszałeś nigdy w życiu.

Podano wieczery, którą jedliśmy w kółku wyłącznie rodzinnem, bez uczestnictwa dworu. Mali książęta domagali się koniecznie żeby ich posadzono przy mnie, a gdy zadość uczyniono ich woli, jeden znalazł się wkrótce na jednym z moich kolan, a drugi na drugim i prosili żeby im dziadzio pokazał jak się jedzie na mule. W obec dzieciunych próśb zawsze bywałem słaby, wada to moja, której się nie umiałem oduczyć. Zacząłem więc naprzemian podrzucać w górę to jednego to drugiego chłopca, powtarzając po atlantyjsku słowa, których się w waszym kraju przy podobnej zabawie nauczyłem:

„Tak pan jedzie po obiedzie;
Sługa za nim, ze śniadaniem”.

Widok ten ubawił rodziców, zwłaszcza Pióropuszką, zanoszącego się od śmiechu z dziełnych jeźdźców, a ja korzystając z jego dobrego usposobienia, opowiedziałem o konkursie wymyślonym przez Zielonkę dla czytelników Wieczorów rodzinnych, i o nagrodzie jaką za najlepszą pracę wyznaczył. Wreszcie nawiasowo wyraziłem nadzieję, że z czasem i starsi bracia zdecydują się może naśladować młodszego, który w swęj gotowości przysłużenia się dalekiemu krajowi, dał im tak piękny przykład. Perelka zapaliła się bardzo do tego projektu i prosiła męża żeby także ogłosił konkurs; Pióropuszek ani jednym słowem nie zaprotestował, co obudziło w nas nadzieję, że da się nakłonić łatwiej niż się z początku zdawało. Słuchał nas zadumany, rysując końcem laski na piasku jakieś hieroglify, poczem wstał, spojrzął na mnie i na swoją żonę i oddalił się, mówiąc że idzie wydać rozporządzenie dotyczące koncertu.

— Ciekawa rzecz co on też tam popisał — odezwała się Perelka, spoglądając zdaleka na rysunki męża — może zadanie konkursowe dla Wieczorów, z dziedziny zoologii!

Ale ja tak znów bardzo różowo nie zapatrywałem się na tę sprawę; wystarczało mi na teraz, że królewicz nie protestował — natychmiastowego postanowienia bynajmniej nie wymagałem od niego. Powodowani jednakże ciekawością, podnieśliśmy się oboje i pochyleni usiłowaliśmy odczytać na piasku pismo Pióropuszką. Stały tam następujące wyrazy:

Rhacophorus Rheinwardti.

Było to imię tój, która od kilku miesięcy zawładnęła jego myślami, tój której portret ciągle nosił przy sobie, żaby latającej!

Więc cała moja i Perelki odezwa skierowana do tego człowieka, przepadła... bo podczas gdy my wysilaliśmy się aby go przekonać, on nie słuchał nas nawet tylko myślał o swojej żabie... Spojrzeliśmy na siebie srodze zawiedzeni, i rozśmieliśmy się, a Perelka odezwała się wesoło.

— Siostry przepowiadają mi, że gdy mój małżonek znajdzie nareszcie swoją żabę, to weźmie ze mną rozwód a z nią się ożeni!

W tój chwili nadszedł królewicz i nie domyślając się by-

najmiej naszych uczuć, ani treści naszej rozmowy, wezwał nas na koncert. Miał on widocznie odbyć się w ogrodzie, bo Pióropuszek prowadził nas między drzewa, w stronę przylegającą do brzegu morza. Tam wśród zielonych kobierców trawy były trzy olbrzymie baseny, niby stawy, wyłożone marmurem, w których trzymano osobliwsze okazy ryb, a fontanny bijące w nich wysoko, sprawiały ruch dający złudzenie wody biejącej. W miarę naszego zbliżania się do basenów, dochodziły mnie coraz wyraźniej jakieś dziwne, nigdy przedtem niesłyszane dzięki, na których określenie trudno mi się zdobyć — powiem tylko, że nie były one bynajmniej harmonijne: jakieś tony piskliwe, jakieś mrużenia i szmery, jakieś odgłosy pod-

uzbrojony trzema ruchomymi kolcami; złowiono ją około wysp Zielonego przyładka. Ta druga sumowata, ma instrument muzyczny w zębach, wydających metaliczne dźwięki, a ta trzecia *Synodontis*, wydaje ostre szmery przez ruch cierni pletwy piersiowej; czwarta poruszając mięśniami pasa łopatkowego, mruczy, które to tony bywają jeszcze wzmocnione przez odbicie się w wielkiej jamie gębowej. Tamta co płynie na prawo, *Balistes vetula* trzyma w całej tej orkiestrze pierwsze skrzypce, wydając skrzypliwe dźwięki, przez poruszanie cierni przedniej pletwy grzbietowej, a gdy uderzy ściankami pęcherza o części szkieletu, które zaczynają drgać, bębni tak wyraźnie, że mogłaby prowadzić pułk do ataku. Trzymając raz w ręku takie-



Artysta bez rąk.

zne do uderzenia w bęben... Królewicz zatrzymał się przy jednym z basenów i zwracając się do mnie zapytał.

— Słyszałeś kiedy mistrzu o rybach śpiewających?

— Nie — odpowiedziałem, ale niema w tem nic niepodobnego. Jeżeli istnieje piasek brzęczący, może istnieć także i ryba śpiewająca, chociaż o ile wiem, ryby nie posiadają właściwego organu głosu i z tego względu słusznie je nazwać można niemymi zwierzętami.

Pióropuszek spojrział na mnie tryumfująco.

— Konik polny nie ma także odpowiedniego organu, a przecież wydaje głos za pomocą tarcia nóg tylnych o skrzydła rogowe, jak również świerszcz wtórujący koncertom koników po polach. Podobnie bywa i z rybami: istnieją takie, które wydają pewne szmery i dźwięki za pomocą najrozmaitszych organów, zwłaszcza *Rogatnice*, zwane po łacinie *Balistes* należące do rzędu zrosłoszczekich. Czy widzisz mistrzu tę oto, co się rzuca w pośrodku? skórę ma pokrytą łuskami, a grzbiet

go dobosza, przyszedłem do przekonania, że to szybkie kurczenie i rozkurczanie się ciała, wprawiające w ruch kość podobojczykową, a przez nią ścianki przylegające do niej pęcherza pławnego i zawartego wewnątrz powietrza, sprawia ten odgłos.

— Do czego też może służyć rybom ta muzyka — spytała Perelka — czyżby miały upodobania artystyczne?

— Niezawodnie do odstraszenia nieprzyjaciela, a także do wzajemnego wabienia się — odpowiedział królewicz. — Jakże mistrzu, czy byłeś kiedy na podobnym koncercie?

— Nie byłem i dziękuję ci miłośnicy królewiczu, żeś mi go usłyszeć pozwolił — odrzekłem. A że już było po zachodzie słońca, więc pożegnałem wkrótce królewiczowstwo i podążyłem do domu.

(d. c. n.)

ARTYSTA BEZ RĄK.

Uderze się w piersi, kochani czytelnicy, ile to razy, gdy was starsi upominają, że to lub owo źle zrobione, odpowiecie im: „Ja już lepiej nie umiem... Ja już nie potrafię inaczej!” Co można *umieć* i *potrafić*, przy dobrych chęciach, ma się rozumieć, tego jest dowodem artysta muzyk p. Unthan, człowiek

W szesnastym roku życia, sam sobie obmyśliwszy sposób trzymania smyczka i skrzypiec, zaczął się uczyć grać na skrzypcach, i niebawem doszedł do tego, że dawać mógł koncerty, na które licznie uczęszczano, nie dla zobaczenia osobliwego artysty, ale dla posłuchania prawdziwie artystycznej gry jego. Jest to zresztą człowiek bardzo wykształcony, posiada siedm języków, pisze pięknem i wprawnem pismem i utrzymuje, że brak rąk nigdy mu się uczyć nie dał. Istotnie, uwierzyć mo-



Półw krokodyla.

dzisiaj już czterdziestoletni, który się urodził bez rąk, wyraźnie: *bez rąk* — powiadam. Jakim sposobem nauczył się pisać, malować, grać na skrzypcach, strzelać, pływać, powozić, to już jest jego tajemnicą, a raczej tajemnicą tej niezłomnej kamiennej wytrwałej woli, którą Bóg łaskawie obdarzyć go musiał, jakby chciał powetować biednemu dziecięciu kalectwo, z jakim go na świat zesłał. W pierwszym już roku życia chłopczyna z dziwną zręcznością posługiwał się nóżkami, jakby kończynami przeznaczonymi do chwytania; w piątym zaś roku tak je miał wykształcone, że umiał brać pomiędzy palce u nóg tabliczkę, żeby razem z innymi kolegami uczyć się pisać.

zną temu, patrząc na niego: umie on odkorkować butelkę, zapalić cygaro, ukroić kawałek chleba, stasować i rozdać karty i w ogóle służy sam sobie równie zręcznie, jak każdy ręk swoich używać umiejący.

Odbyszyszy dużo podróży artystycznych tak po Europie, jak i po Ameryce, doszedł do zamożności i sławy, ożenił się z kobietą, która go uszczęśliwia, i nie tylko na los swój nie narzeka, lecz owszem twierdzi, że ręce nieraz ludziom zawadzają i stają się przyczyną, że zaniedbujemy zdolności, któremi Bóg nogi obdarzył. Uczeń zaś naturalistów, którzy badali p. Unthana dowodzą, że zdolności te wykształcił on sobie ciąglą,

niezmordowanie wytrwałą pracą, do czego mu dopomogła istotnie wrodzona a zadziwiająca giętkość kości biodrowej. Bądź jakbądź, p. Unthan jest niepospolitem zjawiskiem, a jak wybornie posługuje się nogami o tem przekonać się możecie z przyłączonego tu rysunku. Na stołeczku, pod nogą artysty leżą skrzypce i smyczek; na stoliku obok niego stoi instrument, którym również dobrze władać umie: *cornet à piston*, a twarz jego nosi wyraz rozbudzonej myśli i szczerego z losu zadowolenia.

ANIELSKA ROBOTA.

Idąc, myślałam o dziewczęce bladiej,
Co tam w piętnastej wiosnie dogorywa,
Śmierć ją zabierze, niema na to rady!
Wie o tem dawno matka nieszczęśliwa.

Stając w ich progu, na końcu ogrodu
Jasnowłosego spostrzegłam chłopczyka,
Dziecię sinemi rączkami od chłodu
Zbiera coś z ziemi i do drzew przytyka.

Zbliżam się, spojrział: „a dzień dobry pani”,
— Lubisz mnie? — „Lubię” — Wróc ze mną do domu.
„Nie mogę”. — Czemu? — „Pracuję dla Mani”.
— Jakto? — „Opowiem, lecz nie mów nikomu.

„Zowią mnie Jankiem, w dzień mego patrona
Sześć lat skończyłem, a było to w lato...
Zdaje się pani bardzo tem zdziwiona,
Lecz wszyscy mówią, że wyglądam na to.

Sam się tu bawić muszę w chowanego,
Odkąd siostrzyczka bardzo, bardzo chora,
Oddawna leży!... Mateczka dlatego
Cczaz to częściej przyzywa doktora.

Pan ten poważny o surowej twarzy
Choć nie wygląda na złego człowieka,
Ilekróć razy z mateczką pogwarzy,
Ta gorzko płacze: — widzę to zdaleka.

Podśluhać wtedy wzięła mię ochota,
Co on jej mówi — nie marszcz pani czoła!
Wiem, że ciekawość szkaradna brzydota,
Lecz co się stało, odstać się nie zdoła.

Gdy zatem do nas przybył wczoraj z rana,
Jam się za szafę ukrył w rogu sali;
Nadeszli wkrótce, mateczka splakana
A za nią doktor i tak rozmawiali:

Dokąd to potrwa, nie wiem rzeczywiście,
Lecz nie przeżyje końca listopada...
Gdy z drzew ostatnie opadną już liście,
Odejdzie z nimi ta dziewczeczka blada.

Co więc liść spadnie, to ja go przywiążę,
Lecz choć od wczoraj pracuję wytrwale,
Nie wiem, czy na czas z robotą wydadzę,
Trudu mojego nie znać tutaj wcale:

Widzisz więc pani, że pozostać muszę,
Bo jeśli ręce leniwie założę,
Liście uniosą siostrzyczki mój duszę...
Może mi pani w robocie pomoże?”

N. Sokolowska.

W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— Ponieważ niemamy czasu do stracenia, i spoczęliśmy chwilę, idźmy dalej w drogę Thorn? — pytając rzekł Mac'Ulma po chwili.

— A... a, śniadanie?... — szepnął nieśmiało i pocichu chłopięcy jakiś głosik...

Odezwał się tak John szesnastoletni Anglik, niedawno znajdujący się w służbie Mac'Ulma i nie pojmujący istnienia na tym świecie bez bifsztjku, o którym mówiąc, płakał jednocześnie szczerze za panem Wiliamem. Odezwanie się jego w tej chwili byłoby wielce komicznem nawet, gdyby nie okoliczności:

— W istocie, jest już po północy, a od rana, od przetrwanej uczty nikt nie jadł, jeżeli wyjdziemy z tej jaskini bezsilni, cóż pocniemy? — powiedział Thorn.

— Jest tylko stary paw.

— Nie wielka z niego pociecha...

— Proszę mi tego pawia darować, to dostarczę żywności dla wszystkich i zapas na drogę jeszcze...

— Jakim sposobem?

— Ułowię w rzece tu o dwadzieścia kroków; mam haczyki, jeden nawet porządny hak: paw posłuży za robaczka na przynętę...

— Ależ w naszej tutejszej rzece niema nic... prócz krokodyli!...

— Właśnie; bardzo smaczne; delikatne mięso, smakuje zupełnie jak tłusta pularda... — Indyjanin Rahib mlaśniał głośno ustami z rozkosznym akcentem wytrawnego smakosza.

— Pularda?...

— No tak maleńka, tuczona przyrządzana jakoś tam, jak nasz kucharz nieraz piekł dla państwa, a i my kosztowaliśmy...

— Zupełnie tak samo smakuje krokodyl...

— Mniejsza z tem jak smakuje; w każdym razie jeżeli możesz, dostarcz towarzyszącej żywności. Czy mamy iść z tobą?

— A tak, sam nie dam rady krokodyla przynieść tutaj...

— Co teraz robisz?

— Rozplatam matę... posłuży za sznur...

— A jak Indyjanie wypatrzą nas łowiących nad rzeką?

— Nie; księżyc jest ostatnią noc w pełni, muszą tej nocy koniecznie skończyć ze zwłokami swoich zabitych: dla tego to niema nikogo w okolicy, wszyscy muszą być tam, przy ostatniem pożegnaniu... Wszyscy, którzy wespół z nimi walczyli po raz ostatni. Nie będzie ich nad rzeką.

— I dosyć gdy my dwaj pójdziemy z Rahibem aby przynieść krokodyla...

— Nie! Niech wszyscy idą, kto nie wie jak się to robi nauczy się; zresztą możecie potrzebować pomocy — ciszej dodał Thorn do Mac'Ulma. — Nikt nie śpi... dzieci lkały przez sen za bratem i siostrą... rozpacz w bezczynności, jest dwakroć rozpaczą... niech idą!...

W kwadrans później Rahib ustawił towarzyszy u stóp grupy drzew na najwyższym w tem miejscu wybrzeżu rzeczki zarosłej sitowiem. Lasek dość gęsty w ogóle, tu tylko rozarty był trochę po obu stronach strumienia, a wspomniana grupa drzew ogromnych z jednym jeszcze pomniejszem schylonem niżej tuż nad wodą podrywającą jego korzenie, stała odosobniona.

— Krokodyle nie mogą wydostać się na tutejszy brzeg nazbyt stromy dla nich — rzekł Rahib — wychodzą tylko na przeciwny; powstańcy nie przyjdą również; jednakże nie w ludzkiej jest mocy odgadnąć i przewidzieć wszystko, co zdarzyć się może, otóż, jeżeliby się co nieprzewidzianego zdarzyło od zwierząt, trzeba schronić się na drzewa, a jeżeli od ludzi, to wracać do jaskini tym samym przemykiem w gęstwinie, jakeśmy tu przyszli. Ja będę stróżował, bo widzę w nocy jak w dzień, jeżelibym dostrzegł ludzi, zakrzyczę pawim głosem, jeżeli zwierzę jakie, zawyję jak tutejsze małpy.

Tak ubezpieczając towarzyszy, trzej Indyjanie przywiązali jednocześnie pawia za nogę, na jednym końcu zaimprovizowanego długiego sznura z rozkręconej maty, a drugi jego koniec przymocowali do owego drzewa, stojącego osobno poniżej innych nad wodą. Prócz tego przymocowano także pawiowi na piersi duży, ostry i zakrzywiony hak, następnie pu-

szczono ptaka z rąk i wszyscy trzej zniknęli w zaroślach. Księżyc w pełni oblewał rzeczkę i okolice tak jasnym światłem, że nie tylko krajowcy obdarzeni jak w ogóle ludzie w pół dzicy doskonałym wzrokiem, lecz i Europejczycy mogli wszystko widzieć dokładnie.

Ptak najprzód w górę uleciał, ale wnet pociągnięty sznurkiem, ciężarem haka i skrepowany trochę, opadł na sitowia zarastające przeciwny brzeg strumienia, usiłując oddalić się jak najbardziej od miejsca, w którym czuł się uwięzionym. W tej chwili Thorn tracił zlekka i nieznacznie Mac'Ulma, stojącego przy nim i wskazał czterech młodych ich synów. Chłopcy nie dawniej jak przed półgodziną zrozpaczeni tak, że łkali przez sen, teraz zajęci byli polowaniem aż im oczy błyszczały w księżycowym świetle. Dwaj ojcowie tłumiąc westchnienie uściskali sobie ręce w milczeniu. W tem dał się słyszeć lekki szelest, pewien rodzaj świszczącego sapania, przykra dla wielu woń piżma rozeszła się w powietrzu, i ogromny krokodyl wyszedł z wody... Dążył prosto do pawia, sitowie i gałęzie zarośli, gięły się i kładły pod jego cielskiem, pokrytem grubą dużą łuską w zielonawo-oliwkowe i czarne odcienia, o podwójnym, strasznym jak zębata piła grzebieniu łączącym się w końcu z ogonem. Okropne szczęki wyszczerzone, jeżyły się ostreimi potężnymi zębami, łapy o szponach olbrzymich poruszały się wstrętnym ruchem płazów, dzikie przerażające oczy błyszczały jak zarzewie... Na widok potworu, paw przestraszony zerwał się do lotu.

Ale po chwili darennego szamotania się, biedne stworzenie upadło znowu na wodę, uderzając rozpezwliwie skrzydłami. Tego tylko oczekiwało straszdyło, paszcza niby wiecznie śmiejąca się okropnym uśmiechem, rozwarła się szeroko jak otchłań i zamunęła, pochłaniając ptaka wraz z ogromnym zakrzywionym hakiem...

— Nasz!... — szepnął Rahib.

— Gdyby mu też kulkę wpakować w dodatku?... — zaproponował Edward przestępując bezwiednie z nogi na nogę jak ochoczy tancerz na odgłos różnej muzyki.

— Po co budzić licha wystrzałem gdy ono śpi?... A zresztą szkoda kuli, ześliznie się po łusce nie dotknąwszy zwierzęcia. Poczekajmy chwilę a i tak naszem będzie; oto już się szarpie... im bardziej szarpać się będzie tem głębiej w gardło zagrzezać mu będzie hak rozszczepiony... niezadługo straci siły i wyciągniemy go jak kłodę drzewa, ciągnąc po prostu za sznur...

— O! o, o!... proszę patrzeć jak potwór tańcuje!...

Istotnie straszdyło tak szalało, rwąc się z bólu i rozpacz, że gdyby to nie był okropny krokodyl, możnaby patrząc na jego męki, uczuć dlań współczucie. Nikt z patrzących nie uczuwał go przecież. Wkrótce wyciągnięto na brzeg połączonemi siłami zdobywcz wstrętną z pozoru, i Wilko w jednej sekundzie odciął jej głowę.

— Nigdybym też w życiu nie odgadł, co mam jeść dzisiaj na śniadanie... — zrobił filozoficzną uwagę Robert Thorn, patrząc z podziwem i wstrętem na rozciągniętego u stóp potwora.

— Tsst!... Co to jest?... — szepnął ten i ów nagle: wszyscy od razu spostrzegli w oddaleniu, wychodzący powoli z głębi lasu, dziwny jakiś orszak, wiedziony jakoby przez dwie pochodnie, pomiędzy którymi na czele szła kobieta... Nie było potrzeby ostrzegać głosem małpy ani pawia:

— Powstań!... Spiesznie cofać się do groty naszej! — szepnął Mahora.

— Wielki Boże!... ta kobieta nie jestże to Klara?... — jęknął Mac'Ulm.

Wszyscy stali chwilę jak skamieniali pod wrażeniem tego przypuszczenia, a potem Wilko pierwszy nie mówiąc ani słowa wdrapał się na drzewo, pod którym stał...

Tajemniczy orszak zbliżał się ciągle... Wszystkie prawie lufy, niechący skierowały się ku postaciom otaczającym kobietę...

— To nie nasza panienka! To tutaj!... — szepnął Wilko, cicho jak wietrzyk.

— To nie jest panna Klara!... Prędko chrońmy się do jaskini zanim drogę nam przetną!... — powtórzył równie cicho Mahora. Ale trzej Szkoci i trzej Anglicy stali jak wręci, z oczyma wlepionymi w kobietę zbliżającą się ciągle ze swym orszakiem.

Panowie, to nie panienka! Do jaskini, lub wszyscy zginiemy!... — nalegał Rahib.

— Już zapóźno!... zajęli naszą ścieżkę!... — westchnął Mahora. — Na drzewa! Niema innego ratunku; lecz i to na nic... zobaczą lub dosłyszą nas.

— To nie Klara! Nie ona! — jęknęła wreszcie gromadka Europejczyków, których wzrok mniej bystry, teraz dopiero stwierdził to, o czem Indyanie od kilku minut już wiedzieli.

W mgnieniu oka zrozumiawszy położenie, wdarto się na drzewa, o ile można było najciszej, przy czem jednak panu Thornowi pomagać było trzeba. Dziwny orszak był już tak blisko, że musiałby być cośkolwiek dosłyszeć, gdyby nie głużył go szelest własnych kroków. Wkrótce można już było spostrzedz niezwykłą piękność dziewczyny, wiedzionej między pochodniami. Przybywszy na błotnistą małą równinę, nad brzegiem rzeki u stóp stromej wzgórza, uwieńczonego odosobnioną drzew gromadką, niosący pochodnie zatrzymali się. Starcy zasiedli w okrąg na ziemi, tłum otoczył śliczną dziewczynę postawioną w pośrodku, koło niej stanął olbrzym w pół nagi i z niebywałą u Indyan gadatliwością rozpoczął jakąś mowę, zwracając się to do dziewczyny to do otaczających ją starców. Zdawał się mieć niby rolę tłumacza, albo adwokata czy też oskarżyciela raczej, gdyż z uniesieniem, do szalu dochodzącym wyraźnie przekonywać usiłował o czemś i ją i słuchaczy. Ona odpowiadała czasem ponuro pojedynczemi wyrazami, oni głosami kiwali w milczeniu:

— To boże-sądy!... nie mamy się czego obawiać byleśmy zachowali się cicho, bo nie myślą o nas i nazbyt są własną sprawą zajęci... — szepnął znów pocichu Mahora. — Nie poruszaj się panie Jerzy, aby nie trzeszczała gałąź, na której obadwaj siedzimy, i strzeżmy się aby broń czyja przypadkiem nie wypadła...

— Boże-sądy?... było coś podobnie zwanego niegdyś u nas w Europie, coż to ma znaczyć tu w Indyach?

— Jest tu jedno pokolenie, którego praojcowie mieli wedle stariej opowieści przypłynąć tutaj z wyspy Madagaskaru, ono to w trudnych razach krokodylom pozostawia sądy swoje...

— Krokodylom?...

— Tak. I oby nie zobaczyli tego zabitego, który tu leży w zaroślach pod drzewami: nie jedzą oni mięsa krokodyli, ponieważ mają dla nich wielką cześć. Patrzcie!... Patrzcie!... Sąd skazuje dziewczynę!... a oto kat i lekarz ich, jednocześnie bierze ją za rękę i prowadzi do rzeki!... Ale jaka ona spokojna!...

Wistocie piękna dziewczyna, acz łzami zalana, szła jednak spokojnie. Stanąwszy tuż ponad falami, niezbyt szerokiemi lecz dosyć głębokimi i rojącej się krokodylami wody, ów prowadzący dziewczynę puścił ją i wzniosłszy obie ręce w górę, w gwałtownej przemowie wzywał widać krokodylowej mądrości. Dziewczyna wtedy odwróciła się ku tłumowi i głośno coś powiedziała. Na to wezwanie, wybiegło natychmiast z gromady kilka łzami zalanych dziewcząt, podając owę obwinioną różne wiązadła, sznurki, taśmy, a nawet prawdziwą wstążkę, co wszystko zrywały ze swego odzienia, snadź na prośbę nieszczęsnej towarzyszki. Ona wzięła to od nich i związała tem mocno na głowie długie niepospolicie, rozpuszczone swe włosy, potem przy głośnym okrzyku tłumowi skooczyła w wodę...

Gdyby okrzyk ów i zajęcie ogólne nie były tak wielkie, usłyszaliby okrzyk pełen oburzenia, pochodzący z wierzchołków drzew, górujących ponad małą równiną tego sądu. Nie dosłyszano go przecież, a poprzczepiani na drzewach Europejczycy zamilkli, wstrzymując mimowiedzy oddech na widok niesłychanej zrzeczności, z jaką dziewczyna płynęła, wymykając się jakby sama najzwinniejszą rybą była, chcącym ją pochłoniąć potworom, odpędzając je jednocześnie dwoma olbrzymimi nożami w kształcie pugałdów, które w obu trzymała

rękach. Młodzi Anglicy nie mogąc patrzeć na ten okropny widok, zakrywali oczy powodowani uczuciem ludzkości, ale odsłaniał je znów natychmiast powodowani ciekawością. Tymczasem dziewczyna dopłynęła do małej wyspki znajdującej się w pośrodku rzeczki i wyskoczyła na ląd.

— Niewinna! z pewnością niewinna zarzucanego jej występku — szeptał Rahib — inaczej nie odważyłaby się płynąć tam, gdzie jest największe rojowisko krokodyli! To ich gniazdo i stolica. A gdyby dziewczyna nie chciała dobrowolnie płynąć, to uznanoby ją winną i wrzucono gwałtem w fale i zginęłaby niemylnie...

Tymczasem obwiniona zaczęła biegać jak szalona w kółko po małej wyspce, a za nią goniła gromada potwornych wyszczerzonych strasydeł, wyskakując z wody gwałtownymi rzutami, zwęszywszy zdobycz, aż ona zniechęciwszy ich w ten sposób ku sobie, nagle jednym szalonym tygrysim skokiem, przerzuciła się wprost na przeciwległy brzeg wyspki i z pluskiem skoczyła w wodę, tam właśnie gdzie rozłakomionych na nią potworów nie było. I wyskoczyła napowrót przy nowym patrzących tłumów okrzyku. Mnóstwo strasznych paszczy, ukazało się w tem miejscu natychmiast, ale dziewczyny już tam nie było: biegała znowu z szaloną chyżością po wyspce, goniona ciągle przez potwory. Po trzykroć powtórzyła manewr poprzedni, skacząc i wyskakując z wody, siedliska potworów. Za każdym razem po chwilowej śmiertelnej ciszy rozlegał się luczny okrzyk tłumu, gdy ten ujrzał znowu na wyspce tę, której nie spodziewał się widzieć więcej. I za każdym razem trzej Indianie uczeni wraz z Europejczykami na drzewach, szeptali pomimo że chrześcijanami już byli:

— Niewinna! niewinna! niewinna! — i mieli słusność: tylko w głębokiem poczuciu niewinności swojej, mogła dziewczyna zaczerpnąć tyle sily, odwagi i bystrości. Nagle wyskoczywszy na wyspkę po raz trzeci, odwróciła się i dzikim skokiem przerzucając się ponad wyszczerzone i porozwierane ku niej paszcze skoczyła aż na środek rzeczki, i zanim strasydła zdołały zorientować się i pogonić ją w tym nowym niespodziewanym kierunku, przebyła wodę i wyskoczyła na brzeg z którego pierwotnie wypłynęła, i upadła bezprzytomna z wysilenia u stóp tłumu. Wielka wrzawa napełniła wtedy lasek. Jedni pochwycili dziewczynę na ręce, i podniosłszy wysoko, ponieśli w tryumfie wśród radosnych okrzyków skaczących w około jej towarzyszek. Inni tymczasem przywlekli owego już widzianego poprzednio gadatliwego oskarżyciela, postawili na tem samem miejscu, na którym niewinną oskarżał, sto rąk nagich uzbrojonych w błyszczące żelaza wzniosło się nad nim przy dzikich pomsty okrzykach, i... Europejczycy z prawdziwym wstrętem musieli znowu zakryć oczy.

(d. c. n.)

GRY TOWARZYSKIE.

Ziemia, Woda, Powietrze i Ogień.

W grę tę zarówno w pokoju jak i w ogrodzie bawić się można.

Całe towarzystwo siada w koło, powinno być o jedno krzesło mniej niż jest zebranych osób.

Rozpoczynający grę wchodzi w środek koła, staje przed wybraną przez siebie osobą i woła:—Woda,—a potem jaknajszybciej liczy do dziesięciu.

Zagadnięty powinien w tej chwili wymienić jakieś stworzenie w wodzie żyjące, np. ryba, rak, żaba i t. p.

Jeśli się pomyli i powie, wróbel lub kret, w takim razie daje fant, a na jego miejscu siada rozpoczynający grę.

Daje także fant jeśli myślał tak długo że pytający doliczył do dziesięciu. W tenże sam sposób należy odpowiadać gdy wymienione zostało powietrze lub ziemia to jest wymieniając istoty latające po powietrzu lub żyjące na ziemi.

W grze tej bywa mnóstwo fantów, chodzi tylko aby ją prowadzono pośpiesznie, kiedy chodzący w kole napróżno po kilka razy próbował schwycić na nieuwadze towarzyszy i to mu się nie udało, wtedy staje w środku i woła ogień.

Na to hasło zrywają się wszyscy i zamieniają miejsca, kto nie zdążył dopaść krzesła prowadzi grę dalej i z kolei stając przed jednym z uczestników zapytuje wedle upodobania: Woda, ziemia lub powietrze, rachując do dziesięciu.

SZARADA.

od Niezapominajki z nad Warty, dla Litwinki z nad Szczyry.

Pierwsze gdy zechcecie
W rzędzie rzek znajdziecie,
Wspak drugie jest litera,
Trzecie alfabet zawiera,
Czwarte znów jest rzeka
Ztąd dosyć daleka.
Całość będzie
W bożków rzędzie.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

od Złotej rybki dla Rezedki.

Wyrazów 10. Z następujących zgłosek: ral—me—man—mo—e—ka—ma—tim—al—a—se—ryt—da—ter—la—re—zor—mo—la—tyl—ha—sor—pi—tu—ri—yacht—buk—le, ułożyć: 1. Owoc. 2. Bohater znaney balady. 3. Miasto w Afryce. 4. Były urzędnik. 5. Imię żeńskie. 6. Urzędnik. 7. Miejscowość w Grecyi sławna bitwą. 8. Statek spacerowy. 9. Pustyna. 10. Jezioro w Azji. Początkowe litery od góry do dołu utworzą nazwę nauki, a końcowe od dołu do góry także nazwę nauki.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 27-go.

Łamigłówni sylabowej:

1. Joanna. 2. San. 3. Łysy. 4. Orwid. 5. Walhala. 6. Abel. 7. Cal. 8. Kaprea. 9. Job.

J. Słowacki — Balladyna.

Rebusu:

Jak cię widzą tak cię piszą.

TREŚĆ: W wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Artysta bez rąk (z drzew.) — Anielska robota, wiersz p. N. Sokołowską. — W Indyach (z drzew.) — Gry towarzyskie — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Pierwszy siostrzeniec, (z drzew.) — Wędrowiec i skowronek, wiersz — Potwory p. Maryą Weryho. — Noc świętojańska p. Cairo (dokonczenie). — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



Pierwszy siostrzeniec.

PIERWSZY SIOSTRZENIEC.

Jakaż to radość była dla Leonka, Tadzia i Stefy, skoro z nastaniem wakacji przyjechała do nich na wieś, do Lubonia, po czterech latach niewidzenia, ukochana siostra Marynia. Mery, jak ją nazywali, starsza bowiem o wiele od młodszego rodzeństwa, przed kilkoma laty wyszła za mąż i wyjechała bardzo daleko, teraz więc nie tylko że zrobiła niespodziankę swoim nieoczekiwanym przyjazdem, ale ku ogólnej radości w Luboniu, przywiozła z sobą trzyletniego synka Lulusia, którego nikt tu jeszcze nie znał. Luluś, był ślicznym grzecznym chłopczykiem o jasnych kręconych włoskach i czarnych oczkach, i tak sobie potrafił ująć każdego, że po kilku dniach pobytu w Luboniu, stał się pieśczołką całego domu.

Wszyscy pokochali go odrazu, a już najwięcej Leonek, Tadzio i Stefa, którzy nie mogli się dość nacieszyć swoim siostrzeńcem, roszcząc sobie do niego słuszne prawo wujów i ciotki.

Z początku Mery, troskliwa o swego jedynaka, bała się powierzać go tej niby poważnej opiece, która w tym razie mogła być trochę jeszcze za mało bezpieczną, ale wkrótce, widząc z jaką ostrożnością i miłością obchodziła się z nim nasza trójka, przestała się obawiać i pozostawiła go z dziećmi, które tak dobrze umiały go zabawić, że skoro tylko zesunął się z kolan mateczki, biegł natychmiast wprost do nich klaszcząc drobnymi rączkami i śmiejąc się wesoło, co miało oznaczać że Luluś chce się bawić. Dzieci znów, a nawet trzynastoletniego Leonka, wbijało niezmiernie w pychę że mógł mówić o nim: „to mój siostrzeniec!” a wszyscy, starając się jaknajczęściej używać tego wyrazu przed towarzyszami, wyma-

wiali go z taką poważną dumą że rodzice i Mery słysząc to zanosili się od śmiechu.

W dnie chłodne Lulusz bawił się w pokoju. Warto było widzieć wówczas jak królował siedząc na dywanie wśród stosu zabawek, których liczbę codziennie przemysłni chłopcy powiększali własnoręcznie arcydzielami z drzewa, lub innych zdatnych na ten cel materiałów.

Wtedy on wyglądał na małego paszę, oni zaś, na trzech wezyrów, którzy oczekując tylko na skinienie swego władcy, gotowi są na jego rozkaz skoczyć choćby w ogień.

W ciepłe znów dnie, zabawa szła w najlepsze w ogrodzie, gdzie w cieniu drzew i na powietrzu było o wiele weselęj i swobodniej.

Lolusia wychowanego w wielkim mieście cieszyła niezmiernie ta różnaitość, Zachwycił się zielonością, przysłuchiwał ciekawie szczebiotowi ptaszków ukrytych wśród gałęzi, wydawał okrzyki radości na widok jaskrawych kwiatków i sprawiał okropne spustoszenia w ogródku Stefy, która chociaż dawniej tak pilnie strzegła by zeń czasem czego nie wyrwano, teraz z uśmiechem patrzyła jak mały despota rwał pękami maki, róże i goździki, garnąc chciwie do siebie obiema rączkami, jak-gdyby w obawie by mu nie zabrano tych wonnych, radujących wzrok bogatemi barwami, skarbów przyrody. Chłopcy przywieźli mu własnymi kucykami piasku i usypawszy zeń kopiec w klombie lipowym, jak zaczęli pokazywać jak się to buduje piwnice i w przeciagu kwadransu zakłada piękne ogrody, tak zapomnieli przytem, pierwszy, że miał po wakacyach zostać uczniem trzeciej klasy, drugi zaś, o całej powadze dziesięcioletniego wujaszka.

Innym znów razem przysła im nowa myśl. Wyślawszy starannie liśćmi i łąkowemi kwiatkami ogrodowe taczki, zajechali przed Stefę i Lulusia bawiących się piłką, zapraszając ich do przejażdżki po alejach. Zaproszenie zostało przyjęte z wielką radością i wkrótce cały orszak puścił się w podróż urządziwszy przedtem pochód tryumfalny przed gankiem, na którym siedzieli starsi. Lulusiowi bardzo się podobał ten rodzaj zabawy, więc położył się wygodnie na zielonem miękkim posłaniu podczas gdy Stefa z przeczornością i niepokojem troskliwej cioteczki wyglądała przed siebie czy droga jest równa a tem samem czy nie zagraża niebezpieczeństwo wywrócenia, temu improwizowanemu ekwipażowi.

Zajęci podróżą nie zauważyli że pewnego dnia, młody tatuś Lulusia swoim rewolwerowym aparatem fotograficznym zdjął z nich fotografię i zrobił im niespodziankę stawiając ją na stole podczas podwieczorku. Cała grupa wyszła na nięj tak doskonale że poznali się natychmiast, ale jakież było ich zdziwienie, skoro Mery oświadczyła im że jeden taki egzenplarz posłała w upominku od nich Redakcyi Wieczorów rodzinnych, którego to pisemka byli żarliwymi czytelnikami.

— Ach Boże! Jak mogłaś to zrobić siostrzyczko! — zawołali wszystko troje z wyrzutem — będą się w Redakcyi z nas śmieli, że choć tacy duzi tak się jeszcze bawimy.

— A toż dla czego? — odparła Mery — przeciwnie,

posyłając waszą fotografię opisałam, jak bardzo kochacie swego malutkiego siostrzeńca, i staracie się uprzyjemnić mu pobyt między wami, a nic chyba nie zasługuje na większe uznanie jak taka opieka, miłość i troskliwość między rodzeństwem”, bo czyż mój synek nie jest jakby młodszym waszym braciszkiem?...

WĘDROWIEC I SKOWRONEK.

SKOWRONEK.

Czemu tak wczesnie ptaszku maleńki,
Wzbijasz się w niebo z brzaskiem jutrenki?

WĘDROWIEC.

Ze wschodem słońca nocę od rana,
By chwalić niebios i ziemi Pana...
I ty, wędrowcze, dziś bezwąt্পienia,
Wzniesiesz do Stwórcy swe dziękczynienia!...

* * *

Oba, wędrowiec i ptaszek mały,
Śpiewali razem dla Bożej chwały.
Wędrowiec idąc dalej swą drogą,
Czuł w sercu własnem pociechę błogą...
Bóg w niebie słysząc dziękczynne głosy,
Dźwięki ich zmienił w perełki rosy!

POTWORY.

I.

Tak nazywała Jania świnki.

— Brzydszych zwierząt to chyba niema na świecie — mówiła. — Prawdziwe potwory! Tułów gruby, jak beczulka, nogi krótkie, ryj ogromny, wydłużone uszy wiszą jak liście łopuchy, a ogon wcale niepodobny do ogona, jakby supetek ze sznurka. A cóż za brudasy i obżartuchy! Marcinowa naleje im bardzo porządnie jadła w koryto, a one wejdą w nie nogami. Czasem który się spóźni, leci co sił, wpada, zaczyna się przedzierać i koryto wywróci, a świnki dojadają resztki z ziemi.

I poco to rodzice trzymają takich brzydalów, jak urosnę, nigdy żadnej świnki w mojem podwórzu nie będzie.

Przeszedł rok, jeden, drugi i jeszcze kilka lat. Jania była już dużą panną, i sama gospodarowała, ale świnek nie wyrzucała ze dworu.

A wiecie dla czego?

Dowiedziała się że z tych świnek mamy dobre kiełbasy, serdelki, szynki i wiele innych smacznych rzeczy.

Nawet pokrywająca je gruba szczecina bardzo się przydaje. Szczotkarz robi z nięj szczotki do zębów, do włosów, do czyszczenia podłogi i ubrania.

Marya Weryho.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

(Dokończenie).

Można sobie wyobrazić przestרח i zamieszanie, kiedy tak wczesnym rankiem, chłodnym jeszcze po burzy, przyprowadzono do domu trzech winowajców i do tego jeszcze chorą, w gorączce dziewczynkę.

Helę położono natychmiast do łóżka i wezwany doktor zawyrokował że ma silne zapalenie płuc ze znużenia i przeziębienia.

Chorowała potem parę miesięcy bez nadziei życia... W gorączce zrywała się z łóżka wołając głośno z otwartymi szeroko oczami. „O, jak tu strasznie, zimno w tym lesie!” lub znowu chciała uciekać niby przed goniącymi ją wilkami...

A przez cały czas choroby chłopcy nie odstępowali prawie jej łóżeczka. Staś zalewał się łzami i całemi nocami prosił Boga o uratowanie siostrzyczki, to też trzeba było widzieć co za radość była za każdym razem, kiedy po kilku tygodniach niepewności, doktor wychodząc z jej pokoju mówił „że ma się lepiej”.

Rodzice nie zganili nawet jednym słowem chłopcom tej nieszczęsnej wycieczki, uważając że ciężką chorobą Heli dostatecznie ukarani i nauczeni na przyszłość zostaną. I mieli rację. To nieme cierpienie rodziców bolało ich jeszcze bardziej. To też wiara w cudowny kwiat paproci uleciała już z ich myśli na zawsze, a wraz z nią nawet owe uroczyste marzenia i projekta o przyszłości squarterów.

Gdzie im tam już było myśleć o Luizyanie teraz, kiedy jeden uśmiech przychodzącej pomału do zdrowia siostrzyczki, przynosił im tyle szczęścia!... Zabawiali ją obaj czem mogli i umieli, nie odstępując po całych dniach wystawionego na słońce fotelu w którym siedziała powracająca do zdrowia dziewczynka.

I od tego czasu gdy tylko nadchodziła wigilia św. Jana, wszyscy troje wspominali ową nedorzeczną wycieczkę do dąbrowy, wyśmiewając się ze swego pomysłu i wiary w baśni i powtarzali z deklamacją ten wierszyk nieznanego poety:

„Noc czerwco wa pełna czarów
Tajemniczą wabi ciszą,
Wśród kwiecia i drzew konarów
Dziwożony się kołyszą...
— A tam, w głuchym starym lesie
Kwiat paproci już się budzi
Kwiat co wszystkim szczęście niesie
Choć go nikt nie widział z ludzi...
— Och, szczęśliwi którym złuda
Troski życia baśnią złoci,
Im się jednym tylko uda
Uszczknąć może kwiat paproci...”

A z czasem dowiedzieli się jeszcze, że skarby częstokroć droższe nad złoto i dyamenty, znaleźć można bez bajecznego kwiatu, w jednym ludzkim sercu, zdo-

bnem tylko w cnoty które najwięcej wzbogacają człowieka, oraz że te pieniądze, zdobyte własną pracą są najmiłsze w świecie...

Cairo.

SZARADA.

Od Poranka majowego dla Filaretki i Fiołeczka
z nad Wisły.

Pierwsze zaimek; a *drugie* płynie
W prześlicznej Włochów krainie,
Nakoniec *trzecie*,
W nutach znajdziecie;
Wszystko drzewo dobrze znane,
U nas często widywane.

Łamigłówka kryształowa.

ułożyła Grażyna dla Rumianego jabłuszka.

1. Spółgłoska.
2. Owad.
3. Stos papieru.
4.
5. Zaimek.
6. Szacowny organ.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą miano przyjaciółki dzieci, którą kochać i szanować powinny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Szarady:

Sza — ra — da.

Łamigłówki kryształowej:

K
s o k
K o t e k
l e p
k

Skrzynka do listów.

Chętnie spełniamy życzenia naszych kochanych czytelniczek więc i żądaniu „Wysepki na Rojściu” stanie się zadość.

Bardzo nas cieszy obietnica, że **Tęcza z nad Jatrani** należy być do każdego konkursu. Zapewne uda jej się kiedy wziąć pierwszą, lub jedną z pierwszych nagrodę, którą bywa upragniona przez nią książeczka.

M. Dus. z Chm. posłaliśmy numerą, począwszy od tego, na którym stanęła. Łamigłówki, o ile będą dobre, doczekają swojej kolei.

Niezapominajka z nad Warty śliczny i szczęśliwy w skutkach miała pomysł! Dziękujemy szczerze w imieniu biednych dzieci

tak jęj, jak i towarzyszkom, z których jedna tak posępny pseudonym przybiera. Łamigłówka poczeka, niestety!

To już jak widać, wszystkie **Niezapominajki** tak są pocziwe, bo i ta druga z nad Jabłoni, uprzedzając konkurs, pamiętała o biednych dzieciach. Łamigłówek nie odebraliśmy wcale.

Jaskółka z nad Bohu obiecuje nam „długo nie rozstawać się z nami, gdyż dzięki Bogu ma 4-ro rodzeństwa młodszego” a sama jeszcze nie prędko staruszką zostanie. Miła to dla nas obietnica, Jaskółeczko i chętnie też witamy cię w gronie naszych korespondentek. Liścik wydrukujemy, gdy kolej przyjdzie na niego.

Ciekawość **Czubatęj Kokoszki** co do konkursu robót jest już w obecnej chwili zaspokojoną. Szczerze życzymy aby „stara babcia” pozbyła się dokuczliwej choroby. Właścicielkę wdzięcznego serduszka ściskamy serdecznie, dziękując starszej jej siostrze za miłe nam wyrazy uczucia, które najlepszą dla nas stawiła nagrodę.

Jesieni kochana nie „starość” to twoja nadaje ci prawo do naszego serca, ale wierne twoje do nas przywiązanie, za które też wzajemnością ci płacimy.

W. M. Sul. Postąpiliśmy wedle życzenia szan. Pani. Sami tegoż jesteśmy przekonania, że ofiara dziecka nabiera wartości, gdy prawdziwą jest „ofiara”.

W. M. Mark. Listu szan. Pani, nie odebraliśmy wcale żądany numer posłano.

Filaretko droga, nie robiłabyś mi wymówek, gdybyś wiedziała jak mało miejsca pozostaje do mego rozporządzenia w lamach naszego kochanego Pisemka. Nieraz proszę o więcej, na co Dobra pani zawsze odpowiada, że jestem nienasycony! Korespondentki, o które pytasz, od dawna nie odzywały się do Redakcyi; na tamte zaś pytania, (których treści sama zapomniałaś, roztrzepanieczko!) odpowiem chyba, jak wróć do Warszawy i list twój wyszukam. Teraz listy wasze odsyłane mi bywają na wieś; dla tego też nie miejcie mi za złe, jeżeli się kiedy trochę spóźnię z odpowiedzią.

Kto ci pozwolił, **Jodełko z nad Noteci**, twierdzić, że mnie „nudzisz”? otóż właśnie, że nie! Bardzo mnie list twój zajął: ztąd widzę „błyszczące oczy Marysi i Sewerki” i doprawdy serdecznie cieszę się z niemi.

A tego **Placuszka** i tę **Babkę**, zjadłabym chętnie, tak mi się apetycznymi wydają! Dobra pani także, jak sądzę, nie krzywiłaby się na takie ciasteczka! Nie bierz ze mną „rozbratu” póki nie przeczytarz tego, co piszę do Filaretki.

Srocze z Ukrainy żądany numer posłano, za resztę na kolonie letnie przeznaczoną, Bóg zapłać!

Horpyno droga, jak ty się nawet pytać o to możesz, czy ja ci życzliwość płacę za życzliwość? Wszystkie was za siostry, za blizkie sercu uważam, nawet i tę „najmniej znaną”. Zawieruchę, którą także proszę niech w serce moje dla niej wierzy.

Wyobrażam sobie, **Poranku majowy**, jak ci za mamusią najdroższą tęskno być musi, ale dzielę z tobą przekonanie, że skarga nigdy nic nie pomoże. W chwili w której piszę tę spóźnioną odpowiedź, już się powrotem matki i rodzeństwa cieszyć musisz? Cieszy mnie to bardzo, że ci się „Pod wpływem błogosławieństwa” podoba, a listy Abrakadabrusa tyle dają do myślenia...

Drogie moje: **Cyganeczko z nad Wisły**, **Wiochno z pod Lublina**, **Wróżbiarko szczęścia**, **Różyeczko biała z Wołynia** i **Fijofeczku z nad Wisły**! Podobacie mi się bardzo i chciałabym korespondować z wami. Czy zgoda? **Cyganeczko z nad Wisły**, dla czego obrałaś taki pseudonym? Gdzie spędzisz wakacje? Ja w Szczawnicy. Co ci się najwięcej podoba z powieści w „Wieczorach”, **Wiochno z pod Lublina**? Śliczny masz pseudonym, **Wróżbiarko szczęścia**. Czy jesteś staruszką i gdzie mieszkasz? **Różyeczko biała z Wołynia**, mieszkamy w jednej gubernii; może się kiedy spotkamy; tymczasem będziemy korespondować; dobrze? **Miluchny Fijofeczku z nad Wisły**, donieś mi co o sobie. Na imię mi Marya, jestem już staruszką. Mam teraz egzamina w gimnazjum, Odpiszcie mi proszę,

drogie siostrzyczki i przyjmijcie serdeczne uściśnienie od *Błyśkawicy*.

P. S. Białęj Perełce, **Róży polnej**, **Topolce z Żytomierza** i **Czarnej Perełce**, zasyłam miliony całusów.

Kochana Maniusiu St. w Stamirowie! Znam ciebie doskonale jak również i ty mnie, a wiedząc że jesteś czytelniczką naszych kochanych „Wieczorów”, postanowiłam napisać do ciebie, wiem, że twoja siostra **K.** pisuje pod pseudonimem **Cichęj Wody** i że byłaś zeszłego roku w **Rabce**, że jesteś bardzo żywa i wesola, teraz z kolei na ciebie wypada wymienić szczegóły mnie dotyczące. Ściskam cię i całuję, a nie zwlekaj z odpowiedzią, do *Czarnobrewki*.

Kochana Trawko z nad Czarnej Hańczy! Wiem z opowiadania pewnej osoby (zgadnij od kogo) że na imię ci **Mania**, nazwisko **Olsz...** masz 8 lat, cztery siostry: **Wacł.** **Zof.** **Lucia** **Karol.** i brata **Włod.** Pierwszy raz piszę do **Wieczorów**, choć je mam dawno. Posyłam ci serdecznego całusa, prosząc o prędki odpis. *Gałązka Jaśminu z Radomia*.

Kochana Pomarańczarko rzymska! Przeczytawszy list twój do wszystkich ucieszyłam się, że i ja będę miała korespondentkę. Jestem twoją imienniczką, ale mię w domu nazywają **Pusia**, za kilka dni skończę lat 10, mieszkam na wsi na Litwie. Uczę się w domu i niedługo mam przystąpić do pierwszej spowiedzi i komunii. Mam dwie siostry **Maryę** i **Wandę** i brata **Janka**. Odpisz prędko życzliwiej ci *Polce z nad Szczary*.

Kochana Gałązko Jaśminu z Radomia, **Pieszczotko z małego ogródka** i **Filaretko!** Donieście mi co o sobie, mnie na imię **Wacława**, możecie się dowiedzieć więcej z numeru 22. Czy znasz **droga Gałązko Madzię D.**, która także mieszka w Radomiu? Miła **Pieszczotko** w którym klasztorze jesteś? czy czasami nie u **Urszulanek**? Przyjmijcie milion całusów od kochającej was *Niezapominajki z nad Warty*.

Różyeczko białęj i Litwinco z nad Szczary przesyłam uściśnienie, prosząc zarazem tę ostatnią o prędszą odpowiedź na mój liścik.

Kochana Ukrainko z kącika! Nie możemy się domyśleć kto jesteś, napisz swoje imię. A ty **Pocieszko** jesteś moją imienniczką, nie znam drugiej **Emci**. Tobie także **Gazello z gór Świętokrzyżkich**, należy się odpisać. **Janinko z Potoka** czemu mi nie odpiszesz? Wszystkim zasyłam serdeczne pocałunki. *Muszka brzęcząca*.

Drogie moje: **Kapłanko Znicza**, **Śpiewna Liro** i **Rzymska Pomarańczarko!** Wy **Kapłanko** i **Liro** długo każecie mi czekać na odpowiedź; piszę jednak do was w nadziei, że odpiszeecie. **Kapłanko** gdzie jedziesz na lato? A ty **Liro** czy prędko porzucisz **Petersburg**? **Pomarańczarko** napisz mi coś o sobie i nie gniewaj się że ci narzucam moję korespondencyę. Może tak jak ja lubisz pomarańcze i dla tego obrałaś sobie tę nazwę? Całuję was wszystkie moje drogie. Wasza *Artystka*.

Drogie moje: **Jaskółko z nad Dunaju**, **Światelko**, **Sikorko**, **Niezapominajko z Zacisza**, **Brzydotko** i wszystkie, które nie zapomniałyście o mnie! Doprawdy, wstydzę się takiego długiego milczenia, ale wszak wiecie wszystkie żem staruszką, a starość nie radość, szczególnie gdy się dojdzie do ostatecznego końca nauk, a chce się by ten „koniec” jakoś pomyślnie wypadł. Miła **Jaskółeczko**, błagam donieś mi kto jesteś, lub powiedz choć jak ci na imię? Wszak ty **droga Sikorko** jesteś **Wikcią**? Mam nadzieję, miła **Brzydotko**, że pamiętasz o twęj sędziwej i 1-ęj korespondentce, która zawsze z przyjemnością przeczyta twoje liściki. **Niezapominajko** moja, witając cię serdecznie w naszym gronie, załączam serdeczne uściśnienia dla: **Wiochny z pod Lublina**, **Staszki z Podola**, **Czeskiej Niezabudki** i wszystkich staruszek. Wasza zawsze życzliwa *Nadsekwanska Jaskółka*.

Kochana Pomarańczarko Rzymska! Przeczytawszy twą odezwę, donoszę ci, iż się nazywam **Maryla** mam lat 10, mieszkam w Warszawie i uczę się w domu. Najlepiej lubię arytmetykę i geografję, a ty jakie nauki lubisz najlepiej? Proszę o prędką odpowiedź. *Różowa Jutrzenka*.